Lato 1972 roku już dawno przeszło do historii. Dziś pojawia się tylko w sentymentalnych wspomnieniach ludzi siedzących przy kominkach, gdy drżącymi z emocji rękoma próbują utrzymać rozdygotaną filiżankę herbaty. Pierwsze pocałunki, miłości, rozczarowania; bieg przez płotki ze związanymi nogami. Nigdy więcej niebo nie było tak niebieskie, słońce tak ciepłe, życie nie skrzyło się już tyloma barwami. Mimo że nie wszyscy mają sposobność, by powspominać ze mną ten wspaniały czas – rodzice zmarli dekadę temu, a tydzień wstecz pochowałem żonę – wczasy w Powtanville odbijają mi się pod kopułą jak piłeczka ping-pongowa. Bo czyż wtedy nie zacząłem naprawdę żyć? Czy właśnie tam nie poczułem prawdziwego zapachu radości i odrzucenia? Wówczas tak nie myślałem, skądże. Zerwanie z Wendy zszokowało mnie jak pierwszy cios w szczękę na szkolnej potańcówce, brutalnie przestawiło sposób postrzegania świata. To nie było zwykłe rozczarowanie. Gdy odchodziła, gdy jej długie kasztanowe włosy falowały na wietrze, po raz pierwszy w życiu poczułem gorzki smak nienawiści; chciałem wykrzyczeć w tę śliczną twarz Bóg wie ile złośliwości, oskarżeń, pretensji. Z perspektywy czasu widzę, że dobrze zrobiłem, gryząc się tamtego dnia w język. Metaliczny posmak w ustach trochę sprowadził mnie na ziemię. Przynajmniej tego nie żałuję. Tej jednej rzeczy nie zmieniłbym, gdybym miał okazję.

Wendy mieszkała w niewielkiej kamienicy w centrum miasteczka. Po raz pierwszy zauważyłem ją, kiedy przemierzałem sklepy w poszukiwaniu wakacyjnej pracy, lekkiej fuchy za kilka dolarów dziennie, żeby móc kupić sobie wieczorem piwo korzenne i poślęczeć przed telewizorem w salonie razem z ciotką. Wendy stała w otwartym oknie, spoglądając rozmarzonym wzrokiem na ulicę. Z pokoju dobiegały dźwięki jakiejś piosenki; nie kojarzyłem jej, ale ta melodia i widok zamyślonej Wendy wywrócił mi życie do góry nogami. Na dobry kwadrans zmieniłem się w kamienny posąg. Ludzie mijali mnie; jedni przepraszali, drudzy zaczepnie szturchali, jeszcze inni trącali, jakbym był niewidzialny. Dla mnie nie miało to znaczenia. Mogłem zostać obrabowany, pobity, nawet zamordowany. Nie potrafiłem odwrócić oczu od Wendy. Wiedziałem, że im dłużej to robię, coraz bardziej się pogrążam, że dalej nie będzie już niczego, tylko tęsknota i wrażenie, że ktoś grzebie ci w sercu rozżarzonym śrubokrętem. Najgorszym okazał się fakt, że ona też na mnie patrzyła. Ja byłem świeżo upieczonym dwudziestolatkiem, Wendy nieśmiało wchodziła pod trzydziestkę. Dwa dni później dowiedziałem się, że miała dwadzieścia osiem lat. Mimo to nie wstydziła się ze mną rozmawiać, nie traktowała jak dzieciaka. To ona pierwsza się odezwała, gdy sterczałem na ulicy, zadzierając głowę jak mały chłopiec wpatrzony w latawiec. Jej głos wywołał u mnie dreszcz podekscytowania, był łagodny i kojący, a w połączeniu z zamyśloną buźką robił piorunujące wrażenie. Wendy nigdy nie zaprosiła mnie do siebie, a ja nigdy nie naciskałem, chociaż schody znajdowały się metr przede mną, wręcz czekały, aż postawię na nich stopę wciśniętą w zakurzone trampki. Byłem młody, naiwny i głupi. Myślałem, że jutro, jutro na pewno powie, iż mogę wejść. Jeśli nie jutro, to bankowo pojutrze. W końcu przegadywaliśmy całe dnie, to do czegoś zobowiązuje, prawda? Do dzisiaj, gdy patrzę wstecz, moja własna głupota mnie przeraża. Nie mam nawet usprawiedliwienia.

Ciotka myślała, że złapałem jakieś dorywcze zajęcie. Tak to ująłem. I wcale nie mijałem się z prawdą; po prostu poszedłem w odwrotnym kierunku. Miałem dwadzieścia lat, stała praca mogła poczekać do przyszłego roku, co nie? Codziennie przychodziłem pod starą kamienicę. Wendy punktualnie o ósmej otwierała okno, tak się zaczynało. Z każdym dniem czułem, że jesteśmy sobie coraz bliżsi. Co z tego, że dzieliła nas ściana z cegieł i piętro. Po jakimś czasie rozumieliśmy się bez słów, czytaliśmy sobie z oczu niczym z otwartych ksiąg. Nie wiedziałem tylko, dlaczego Wendy nie zaprasza mnie do środka. Sama też nie chciała wyjść na ulicę. Tyle wieczorów snułem plany o romantycznych spacerach w pobliskim parku, seansach w kinie dla zmotoryzowanych, wycieczkach do wesołego miasteczka. Powtanville było jak dobry sen; miałem tu wszystko, czego pragnąłem od życia. Cicha, senna mieścina w umiarkowanym klimacie, gdzie mogłeś oddać swojej dziewczynie kurtkę, gdy wieczór zaczynał robić się chłodny, harmonia,

no i Wendy. W pewnym momencie złapałem się na tym, że snuję plany pozostania tu na dłużej niż tylko wakacje. Nie interesowały mnie studia, chociaż włożyłem mnóstwo czasu i pracy, by zdać wstępne egzaminy. Teraz obchodziła mnie tylko Wendy i Powtanville, kobieta mojego życia i miejsce, gdzie czas się zatrzymał, wycofał z morderczego wyścigu ku postępowi.
Któregoś dnia w końcu udało mi się wyciągnąć ją z domu. Stała sztywno kawałek przed głównym wejściem, jakby atmosfera ulicy miała w sobie coś zabójczego, paraliżującego. Powiedziałem, że chciałbym wejść do kamienicy; poczuć jej ciepło, bliskość, złapać za rękę, popatrzeć z bliska w oczy, przytulić. I wtedy stało się coś dziwnego. Wendy zaczęła płakać. Widziałem, iż chciała tego co ja, pragnęła tego z całego serca, ale zamiast się zgodzić, wbiegła spanikowana do budynku. W drzwiach nagle stanął starszy mężczyzna. Powiedział, że muszę już iść, bo narobiłem sobie i Wendy kłopotów. Gdy postąpiłem krok w jego kierunku, uderzył mnie drewnianą laską w żebra. Nie mogłem zrobić nic więcej. Sterczałem przed nieznajomym mężczyzną, próbując ogarnąć to wszystko rozumem; bezskutecznie. Wendy stanęła w oknie, spoglądając na mnie zza uchylonej zasłonki. Wtedy widziałem ją po raz ostatni. Aż do dziś.
Od tamtego wydarzenia dużo się zmieniło. Dzień później wyjechałem z Powtanville. Wyglądałem jak zbity pies, czułem się znacznie gorzej. Opuściłem miasteczko bez żadnych wyjaśnień. Nie chciało mi się żyć, czy takie wytłumaczenie jest wystarczające? Obraz zapłakanej Wendy prześladował mnie przez dwadzieścia lat, podczas których skończyłem studia, poznałem przyszłą żonę i znalazłem pracę w redakcji miejscowej gazety. Miałem mnóstwo okazji, by wrócić pod starą kamienicę, lecz zabrakło mi odwagi. I bez tego moje życie straciło sens. Małżeństwo z Liz było dziwne, podobnie jak nasze wzajemne relacje. Miłość nigdy nie jest taka sama, a pierwsza zawsze nie ma sobie równej. Zachowywaliśmy się jak dwójka ludzi, którzy na siłę znaleźli sobie towarzystwo, by uleczyć złamane serca. Łączyło nas życiowe rozgoryczenie, dzieliły uczucia chowane do kogoś całkiem innego, świadoma i nigdy niepopełniona zdrada. Liz wiedziała, że nie zastąpi mi Wendy, ja byłem świadom, że do jakiegoś tam Devina całkiem dużo mi brakuje. Mimo to na jej pogrzebie nie potrafiłem powstrzymać łez. W końcu siedemnaście lat to nie przelewki, nieprawdaż? Liz w marcu zdmuchiwała świeczki na urodzinowym torcie, a w maju jej fotografia łopotała na wietrze w stosie kwiatów na nagrobnej płycie. Dopiero gdy odeszła, uświadomiłem sobie, jak bardzo będzie mi jej brakować. Ryczałem jak bóbr; za miłością, którą utraciłem w młodości, oraz za namiastką miłości, którą razem z Liz mieliśmy sobie do zaoferowania. Dawniej pewna kobieta pozbyła się mnie. Teraz ja pozbyłem się wszelkich pozorów normalności.
Nie mam pojęcia, w którym momencie podczas pogrzebu zauważyłem Wendy, ale ją zauważyłem. Stała w cieniu samotnego drzewa, obserwowała ceremonię z bezpiecznej odległości, a ja czułem, po prostu czułem, że tam jest. Obróciłem głowę i zobaczyłem ją. Zatkało mnie. Po pierwsze dlatego, że jej widok rozbudził na nowo dawne cierpienie, ale bardziej zaskakujący był fakt, że Wendy nic się nie zmieniła. Nie mówię tutaj, iż wolno się starzała; wyglądała dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat wcześniej, jakby czas się dla niej zatrzymał dawno, dawno temu. Później straciłem przytomność, a znajomi odwieźli mnie do domu. Oni też widzieli Wendy, bo pytali, czy ją znam. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.
Dzisiaj znowu stoję przed drzwiami kamienicy. Budynek zachował wszystkie szczegóły, które zapamiętałem z mojej młodzieńczej podróży; kolor cegieł, pęknięcia w murze, zadrapania na drzwiach, nawet wzory zasłonek. Podniosłem głowę. Wendy stała w oknie. Ja zaczynałem łysieć, dostałem pierwszych zmarszczek, przytyłem, zmieniłem fryzurę. Ona nadal miała długie kasztanowe włosy, młodziutką twarz i rozmarzony wzrok. Tym razem jednak łagodnym gestem dłoni zaprosiła mnie do środka. Usłyszałem szczęk zamka. Zza drzwi wyjrzał znajomy staruszek, on też nic się nie zmienił. Jego spojrzenie mówiło jedno: Jeśli wejdziesz, nic już nie będzie takie jak przedtem. Zdawałem sobie z tego sprawę. W końcu przygotowywałem się na to dwadzieścia lat.
Podążyłem na chwiejnych nogach ku schodkom, a Wendy odwróciła się od okna, by wybiec mi na spotkanie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ipsylon, dodano 23.05.2014 20:32

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.